

Claudio Damiani

Claudio Damiani (1957) urodził się w San Giovanni Rotondo,
mieszka w Rzymie.

Jak pięknie że ten czas
jest jak wszystkie inne,
że piszę wiersze które
jak zawsze zostały już napisane,
że ta kotka przede mną myje się
i spędza czas,
choć jest sama, prawie zawsze w domu, samotnie,
a przecież robi co trzeba i nie zapomina o niczym
– teraz na przykład leży i rozgląda się wokół –
żywąc po swojemu.
Jak pięknie że ten czas, jak każdy, przeminie,
jak miło że nie jesteśmy wieczni,
że nie różnimy się
od nikogo kto już żył i umarł,
kto wszedł do śmierci ze spokojem
jak na ścieżkę która kiedyś wydawała się trudna, stroma,
a okazała się płaska.

• • •

Iść twoją drogą,
albo to ty, ścieżko, idziesz przeze mnie,
lub to ty jesteś stworzeniem
a ja wędrówką, drogą.
Bo przecież jakże jesteś skończona,
jak dobrze zrobiona, i ukształtowana
w każdej twojej części.
I kiedy cię spotykam, wydajesz się żywa
bo sama mi wychodzisz naprzeciw, szczęśliwa,
lub kiedy bije w ciebie deszcz, i jesteś nieruchoma
jak krowy, nie szukając schronienia,
i po chwili rozgaduje się woda,
stajesz się strumykiem.

• • •

Wspominam teraz jak kochałem w pełni
kiedy byłem chłopcem,
i jak byłem pewny że moja miłość to anioł,
i ja też byłem aniołem,
jak byliśmy podobni
(choć ona podobniejsza ode mnie).
I nie mówię teraz: to wszystko nieprawda
bo życie jest inne, życie mnie zmieniło.
Mówię natomiast: wszystko było prawdziwe.
Rodzimy się aniołami i kochamy w pełni,
Zakochujemy się całym sercem naszej miłości
jak dzieci które nie znają świata
i w pełni umieramy.

Kiedy uczniowie piszą wypracowanie
z głowami pochylonymi nad kartką
klasa odpoczywa w spokoju
i lśni jak światło wokół ich głów.
Ja patrzę na nich, i ich siła mnie kluje
– jedna z dziewcząt podeszła żeby o coś spytać
a ja się pogrążam w jej błękitnych oczach.
Niektóre dziewczęta nie są takie ładne
ale w ich rysach odnajduję dumę
latyńskich kobiet,
szlachetne gesty i przesławne rysy,
– myślę o młodych kobietach z Prenestiny, pradawnych,
strojnych, wytwornych,
i o biednych dziewczętach, o chłopkach, pasterkach
z najmroczniejszych wieków –
ale także o chłopcach, jakie dostojeństwo jest nad ich głowami.
A we wszystkich ile oczekiwań, ile nadziei
– oni są najstarsi spośród moich uczniów, są naprawdę już duzi –
i myślę: jak nie zdołałem im niczego powiedzieć!
Jak nic nie zrobiłem! – nie mogłem? –
zajęty bez przerwy belferskim zawodem,
w pośpiechu, w którym tkwię zawsze, roztargniony,
jak gdybym nie dostrzegł wcale że istnieją.
I dziwię się, że przecież zdołałem
unosić się w tej czeluści światła,
że jestem nietknięty, bezpieczny, wśród takiej mocy przepływów,
na tym morzu spokojnym jak błękitne niebo.

Uczyłem dziś moich uczniów geografii,
opowiadałem o akcie urodzenia, o rejestracji w urzędzie
i mówiłem: „Kiedy umrzecie
trzeba będzie zapisać także waszą śmierć”
i mówiąc „kiedy umrzecie”
dodałem „kiedy my wszyscy umrzemy”
i odniosłem silne wrażenie że w ich hałaśliwej reakcji,
wśród rozmaitych żachnięć i zakłęb,
była ponura akceptacja, jak u zwierząt co pod jarzmem
zginają karki, a także poczułem wspólnotę,
lecz poczułem również że tym co nas łączy najbardziej
i upodabnia
są nie tyle narodziny, warunki czy środowisko,
ile ten wspólny los, ta przyszłość jednakowa dla wszystkich.
I czułem jeszcze że nie ma różnic
nawet co do czasu, czyli co do tego że ktoś umrze wcześniej,
ktoś później,
lecz wszyscy razem idziemy na spotkanie śmierci
jak gdybyśmy się trzymali za ręce, ze śpiewem,
z zapachem we włosach, z głowami w kwiatnych
wianuszkach.

My z ruchu oporu wcale nie wychodzimy na ulicę by strzelać,
nie ukrywamy się w górach,
nie piszemy do gazet,
my z ruchu oporu nie robimy nic
lecz kiedy umrzemy będzie w naszych głowach
szczęśliwy rozkaz co nas rozweselał,
towarzyszyl nam w życiu, dał radość
i szczęście, sprawił że życie warte było życia,
wgrzyzania się wszystkimi zębami jak w jabłko,
i kiedy umrzemy ten raj
który znaleźliśmy, który był na ulicy
na oczach wszystkich,
zabierzemy ze sobą pod ziemię
i nawet pod ziemią wciąż będzie się świecił.

Szliśmy ścieżką, była zima,
owoce dzikiej róży ociągały się czerwieniejąc
na nagich gałęziach lśniących od szronu,
aż zatrzymałem moje dzieci i odezwałem się do nich:
„Gdybym miał umrzeć, gdy umrę,
bądźcie spokojne, nie martwcie się,
bo kiedy i wy umrzecie,
spotkamy się i zawsze będziemy już razem,
więc się nie martwcie, bo się przecież spotkamy,
czy to dla was jasne?“, tak im powiedziałem.
Na co one: „OK, wszystko jasne“.

Droga poezjo, jeśli chcesz przyjść, to przyjdź,
jeśli nie chcesz, nie przychodź,
czuj się jak u siebie w domu,
ze mną właśnie tak trzeba.
Tylko nie mogę nie przyjść tutaj,
Góro, i nie mogę nie podziwiać twego grzbietu
i nie mogę nie oddychać tutaj twoim powietrzem
które mnie karmi i bez którego
nie potrafiłbym żyć,
nie mogę nie oddychać twoimi barwami,
które owiewają cię jak coraz to
inne ubrania,
i czuć zapach twoich roślin i ziemi,
i dłonią czuć ciepło
twojego kamienia, jak główki dziecka.

My jesteśmy kamikadze, my żywi,
od narodzin co dzień rozbijamy się
o wrogie okręty.
Bierzemy narkotyki by za dużo nie myśleć,
wonnościami namaszczamy włosy
i zdobimy kwieciami, tańczymy i śpiewamy
na całe gardło, w cudnych dziewczętach
o krótkich istnieniach Kochamy się,
i one też są kamikadze,
w ich imię składamy w ofierze swoje życie
(jak i one swoje składają w nasze imię).
Lecz czasem budzimy się w samotności
i rozważamy nasze kulawe życie,
patrzmy na zwierzęta na pozór nieświadome
śmierci i zazdrościmy im,
i nie chcielibyśmy już namaszczać sobie włosów,
nie chcielibyśmy już tańczyć i śpiewać,
chcielibyśmy zabrać nasze kobiety i uciec
na zaczarowany statek na rozległym morzu,
dotknąć wysp cudownych o nieznanych imionach,
spróbować egzotycznych owoców, łowić smakowite ryby,
kołysać się na hamakach w cieniu palm
kiedy zachodzące słońce rozpala morze i niebo,
i w dwie chwile zostać zabici przez tubylców.